

Wychodzi w Krakowie trzy razy na miesiąc, tj. 10go 20 i 30go każdego miesiąca jako dodatek do Czasu.

DODATEK LITERACKI DO CZASU.

Pojedynczy arkusz Dodatku kosztuje gr. 15. Prenumeratorowie Czasu otrzymują go bezpłatnie.

Postęp chemii tegoczesnej. — Badania nad językiem starosłowiańskim czyli cerkiewnym. — Fizjologia grzeźności. — Wiadomości Bibliograficzne i Artystyczne.

Postęp chemii tegoczesnej.

(z Quarterly-Review.)

Chemia obecnie tak ma obszerne granice, iż jest prawie niepodobna dać w tym artykule, choćby krótki pogląd na tę naukę. Poprzestaniemy tedy na ogólnych rysach przekształceń, których ta nauka w ostatnich 50 latach doznała. Ale i w tych granicach zostając, doznamy trudności, jeżeli się zastanowimy, jak różnorodne są odmiany zaprowadzone w tegoczesnej chemii, i jak mało jest postępów w innych naukach przyrodzonych w związku z chemią zostających, któreby tu ominąć można. Nie chodzi tu tylko o to, ażeby wyliczyć nowe fakta i nowe odkrycia w tej umiętności poczynione, ale o to, ażeby wytłumaczyć zupełnie nowe jej zasady — odsłonić ogromną jej objętość — obeznac z nowymi sposobami doświadczeń — z nową terminologią, którą wywołały te odkrycia. Biegły chemik z początku tego wieku nieumiałby sobie poradzić w tym odmęcie nazwisk i niezliczonych faktów, z których tegoczesna chemia się składa. Jeżeli te uwagi, o których mowa, ściągają się do chemii mineralnej, to się tém więcej zastosować dadzą do chemii organicznej (roślinnej), umiętności, zupełnie nowej, przepelnionej najdziwniejszymi zjawiskami i tak starannie pielęgnowanej, iż chemik, któryby przez parę lat swoje prace zaniedbał, przy powrotnym ich rozpoczęciu, znalazłby umiętność całkiem nową.

Obecne stanowisko chemii tém bardziej nas zadziwi, jeżeli rozważymy, jakie ta nauka w starożytności zajmowała. Dawni uczeni, którzy badali zjawiska natury, nieznali właściwych nauk przyrodzonych — a badania na drodze doświadczeń były im zupełnie obce. Jeżeli bystrość Greków nieobjawiła im tej umiętności, to ociężała Rzymianie niemogli tém bardziej przyjsć do jej poznania. Nawet badania Arabów w przedmiocie chemii niewielkiej są wagi, albowiem ci przewodnicy cywilizacyi, zajmowali się raczej rozumowaniem jak doświadczeniami.

Trudno zaprzeczyć, iż chemia dopiero od wieku liczy się do rzędu umiętności, ile, że niemal wszystkie główniejsze wynalazki, do jej obrębu należące, dopiero w ostatnim stóleciu poczynione zostały.

Wprawdzie nazwiska takich mężów jak Boyle, Hooke, Mayow, Stahl, Halles były już przedtém w świecie chemicznym znane, jednakowoż zasady tegoczesnej chemii położono dopiero w okresie między 1750 a 1790, w którejto epoce zajął się na widokregu wiedzy ludzkiej nazwiska Blacka, Cavendischa, Watta, Priestleya, Bergmanna, Lavoisiera, a która przez odkrycie kwasorodu, wodorodu, saletrorodu, kwasu węglowego, równie jako też przez odkrycie praw powinowactwa ciał, przez zbadanie składu wody i powietrza, przez zgłębienie własności kwasów i niedokwasów stała się wiekopomną w historii nauk przyrodzonych.

Piętno tegoczesnej chemii jest, że tak rzekę, prawie przesadzona dokładność w doświadczeniach; nie mniej też uproszczenie praw natury, zlanie się prawd chemicznych z prawdami fizycznymi, stanowią charakter tej nauki, tak jak ją dzisiaj pojmować należy.

Rozkładając przed 50 laty wodę mineralną, rudę albo ciało roślinne, znajdowano ledwie połowę tych ciał składowych, które obecnie za pomocą terazniejszej metody doświadczeń znaleźć

można. Doświadczający wykrył wprawdzie ciała, które go najbardziej uderzyły, najwięcej ważyły, ale nie wykrył tych, które jako oznaczające własności fizyczne przedmiotu, nad którym się doświadczenie odbywało, najważniejszą w nim odgrywały rolę. To, co dawniejsi chemicy uważali jako resztki niepotrzebne, pozostałe z doświadczeń, to uważają terazniejsi często właśnie jako najważniejszą część ciała, którego rozkład przedsięwzięto, w której często najciekawsze istoty pod względem nauki i przemysłu ukryte były. I tak np. znaleziono przed 30tu laty w pewnych roślinach nadmorskich, a nawet w wodzie morskiej jod i brom. Uznano, iż te ciała należą do rzędu nierozkładających się, a co więcej mają własności, które im osobne, ważne, chociaż dotąd niezupełnie znane stanowisko na powierzchni ziemi nadają. Ta okoliczność, iż się względnie w małej ilości znajdują, nie zbije wcale to przypuszczenie, albowiem, działanie chemiczne w ciałach niezawsze od ilości zawisło. Dość jest, za stanowić się nad ogromną masą wody morskiej, do której składu jod i brom należą, ażeby pojąć, jak ważny jest wpływ tych ciał na powierzchnię ziemi naszej. Staranne poszukiwania wykryły istnienie tych ciał w niektórych wodach mineralnych, a nawet w rudach. Wykazano ich podobieństwo z kwasorodem i chlorem, połączono ich z różnemi innemi ciałami, w których medycyna ważne środki leczenia odkryła, a które fizyka odkrywając działania światła na to ciało, do świetnego wynalazku naszych czasów do dageotypowania zastosowała. Ażeby istnienie jodu wykazać, używają chemicy *reagensów*, *reaktywów*, które, choćby milionową część tego ciała, znajdującego się w pewnym płynie, wykrywają. Tę samą dokładność znajdujemy we wszystkich procesach tegoczesnej chemii. — Przypadek, domysły niemają już miejsca w tej nauce, wszystko się odbywa z matematyczną pewnością. Dokładność w doświadczeniach, szczególnie analitycznych, zaprowadzona przez Lavoisiera, a spotęgowana przez jego następców, jest tak wielka, iż chemik często przed właściwem jej rozpoczęciem, wypadek analizy przepowiedzieć może.

Tu jest, zdaje się, miejsce, wspomnieć o wpływie, jaki wywierają niektóre istoty, jeżeli do składu pewnych ciał chemicznych wchodzi. Już powiedziano, że niektóre z tych istot, krom małej ich ilości, ciałom złożonym, w których są zawarte, ważnych własności udzielają. Tegoczesna chemia, szczególnie roślinna, przedstawia mnóstwo takich faktów. Jeżeli się pewny pierwiastek, zawsze w pewnym połączeniu i w pewnej ilości co do wagi znajomej znajduje, natenczas to ciało żywotną część ciała złożonego stanowi. Ta prawda zasadnicza nabrała coraz więcej powagi, w miarę, jak się udoskonalała tegoczesna chemia. I tak, kwas węglowy, znajdujący się w powietrzu atmosferycznym, stanowi tylko tysięczną część tegoż. Jod i brom wchodzi, jak już wiemy, jeszcze w mniejszym stosunku do składu wody morskiej. Żelazo wchodzi do składu krwi. Fosfor znaleziono w bardzo małej ilości w muzu i w kościach. Siarkę w białku jaja i w wielu istotach włóknistych. To, co tu w naturalnych połączeniach znajdujemy, to samo przedstawia się i w sztucznie utworzonych. I w tym przypadku, jak zawsze mała ilość pewnej istoty wystarczy, aby własności ciała złożonego stanowczo zmienić. I tak np., chcąc złotu odjąć jego gęstość, trzeba go przy topieniu wystawić na parę z antymonu. Własności wielu kruszców dadzą się zmienić, jeżeli się je z tysięczną częścią innego kruszcu połączy. Podobnych przykładów jest nader wiele, a przyczyna tych zmian jest: iż w cząstkach pierwotnych ciał dzieją się przekształcenia, przejścia jednych w drugie, pro-

cessa chemiczne, którym światło, elektryczność i ciepłik pomagają lub przeszkadzają. Ten fakt stanowi nieocenioną prawdę zasadniczą nowoczesnej chemii, a badanie skutków tych działań prowadzi do tajników zmysłowego światła i obudza nadzieje, iż kiedyś poznamy prawdy fizyczne, które teraz są po za obrębem wiedzy ludzkiej. Już teraz możemy pezczyć to, co kiedyś wędzie w zakres nauk przyrodzonych. Ocean, ten ogromny zbiorownik odpływów ziemi, musi zawierać ślady ciał, które mu zostały przysłane, a które przeszły w stan płynny. Obecnie niemożemy dostrzedz w tym zamęciu istot w nim nagromadzonych, jak przyczynę zawodniania ziemi, jak środki wyżywienia zwierząt i żyjątek morskich; lecz wszystko przyświadcza, iż kiedyś te istoty lepiej nam będą znane i rzucą światło na niezrozumiałe dotąd zjawiska. Powietrze atmosferyczne, otaczające kulę ziemską, zawiera w sobie oprócz znajomych nam gazów, wiele takich ciał, których dla nieznacznej ilości dotąd niewykazano, a które z wyziewów ziemi, albo nawet z działań chemicznych lub elektrycznych w samym powietrzu powstały. Wiemy, iż życie roślinnego świata od niektórych ciał, składających powietrze atmosferyczne, zawisło; lecz jakiz dowód mamy, żeśmy wszystkie te ciała rozdrobione w małe cząsteczki poznali? a przecież ich wpływ na istnienie rozlicznych istot musi być wielki. Owszem, trzeba przypuścić, iż powietrze silne chemiczne reaktywa zawiera, które szkodliwe wyziewy dla tych istot niszczą, albo też im siłę szkodenia odbierają. Wiemy, iż do składu powietrza kwas węglowy i amoniak w małej ilości zastosowanej do potrzeb żyjącego świata wchodzi, lecz oprócz tych gazów znajdują się w powietrzu zepewne i inne jeszcze w mniejszym stosunku do innych ciał będące, ale może równie ważne dla rozwinięcia sił istot roślinnych.

Ażeby te małe ilości wspomnianych ciał oznaczyć, użyli nowoczesni chemicy, mianowicie Libig i Dumas, metody prostej co do jej zasady, ale jeszcze niedokładnej co do jej zastosowania. Ze znajomego sobio stosunku liczbowego, w jakim wspomniane ciała z innemi, z któremi ciałem złożone tworzą, zostają, starali się oznaczyć przybliżoną ilość, w jakiej też ciała do składu powietrza wchodzi. I tak np., znajomość ilości węgla, wchodzącej w skład powietrza atmosferycznego, jest rzeczą nader ważną dla zgłębienia życia roślin i innych zjawisk kuli ziemskiej. Ażeby tę ilość oznaczyć, trzeba naprzód ciężar powietrza atmosferycznego, otaczającego kulę ziemską, dokładnie obliczyć; następnie ciężar kwasu węglowego stósować do znajomej ilości ciał, składających powietrze; w końcu od tej ostatniej ilości odjąć 27%, a to z powodu, iż 100 części kwasu węglowego, 27 części kwasorodu zawierają. Z podobnego rachunku wypływa, iż ciężar węgla, zawartego w powietrzu atmosferycznym, 3085 miliardów wynosi. Liebig utrzymuje, chociaż to na dość niepewnych przypuszczeniach opiera, iż ten ciężar, ciężar wszystkich roślin powierzchni ziemi przechodzi. Takim samym sposobem obliczono inne istoty, wchodzące do składu roślinnego i zwierzęcego świata, a wypadki tych rachunków znalazły liczne zastosowania w rolnictwie, przemyśle i sztukach.

Drugą cechą nowoczesnej chemii, jest jej, że tak rzekę, twórcza siła. Analiza, jakkolwiek jest dokładna, niedowodzi tak widocznie wielkiego postępu tej nauki, jak synteza, tj., składanie ciał chemicznych w celu otrzymania ciał złożonych. To działanie można zaiste nazwać tworzeniem, albowiem wiele ciał chemicznie złożonych, nie spotykamy wcale w świecie otaczających nas istot. One się tylko w laboratoriach i fabrykach znajdują, gdzie je odkrył przypadek albo zręcz-

ność chemika. Mówiliśmy, jak wiele ciał złożonych utworzono z nowo-wynalezionego bromu i jodu, i jak wielką użyteczność przedstawiają te połączenia. Podobnie chemia organiczna (roślinna) przedstawia nam wiele naśladowań utworów natury, których złożenie wielką chlębę chemii przynosi. Nowo-odkryte metale połączone w najrozmaitszy sposób z ciałami nierozkładnymi. Te połączenia stanowią rząd nowych utworów, które uczoneму światu i naturze obcemi były. Niektóre z nich są wielce użyteczne, inne mają własności bardzo niebezpieczne. Do tych ostatnich należą ciała złożone, eksplozyjne, i pewne połączenia gazów, które w każdym momencie gwałtownie rozłączyć się usiłują. Proch do strzelania, będący tylko mieszaniną nie zaś połączeniem, nie może być zatem nazwany właściwym chemicznym odkryciem, lubo jego działanie od sił chemicznych zawisło; ale za to fabrykacja bawełny do strzelania polega na chemicznym powinowactwie ciał składających ten utwór. Innym przykładem nowych utworów chemii, jest gaz, narkotyczne albo raczej upajające własności mający, a utworzony przez połączenie saletrorodu i kwasorodu w tym samym prawie stosunku, co powietrze atmosferyczne. Ten kwas nigdzie się w naturze nie pojawia. Dowiedziono jest, iż powietrze atmosferyczne jest tylko zmieszanem, nie zaś chemicznym połączeniem wspomnianych gazów, wszelako zadziwiająca jest rzeczą, iż ta nader mała różnica stosunku ilości do tych gazów powoduje tu utworzenie się potrzebnego dla żyjących istot powietrza atmosferycznego, tam zaś upajający gaz (niedokwasek saletrorodu) *Stickstoffoxidul*. — Chemia roślinna mnóstwo podobnych zjawisk przedstawia. — Inne nowe utwory pracowni chemicznych, jakimi są: eter siarczany i chloroform, mają jeszcze szczególniejsze i bardziej uderzające własności. Te ciała chemiczne zostały utworzone przez przeszkodzenie połączeniu się pierwiastków palnych ciał złożonych, co naprowadza na tę myśl, iż z czasem więcej podobnych ciał odkrytych zostanie.

BADANIA nad językiem starosłowiańskim czyli cerkiewnym.

Najosobliwsze, a pod względem językowym arcyważne pomniki starej słowiańskiej mowy, przechowują się w księgach cerkiewnych, używanych przez większą część Słowian, należących do kościoła wschodniego. Rozumie się samo przez się, że badanie języka tych ksiąg, musiało stać się przedmiotem pracy, jeżeli różne dialekty słowiańskie, miały osiągnąć wyższy i właściwy stopień wydoskonalenia; jest to bowiem macierzyste ich źródło. Rzecz godna uwagi, iż poszukiwania w tym względzie przedsięwzięte zostały, nie przez wyznawców obrzędu wschodniego, lecz po największej części przez synów rzymskokatolickiego kościoła.

Zasłużeni ci mężowie, których imiona tak zaszczytnie brzmią w uczonym świecie, należą po większej części do Słowian, będących pod panowaniem Austrii. I tak: Czesi w zawodzie badań języka cerkiewnego szczytą się swoim Dobrowskim i Szafarzykiem; Słowacy Kopitarem i Mikloszycem.

Uczeni Niemcy wiedzą to, jak nisko stały u nich badania nad językiem niemieckim, nim wielki filolog Jakób Grimm wydał swoją historyczną gramatykę. Ażeby zbadać głąb istoty niemieckiej mowy musiał ten jeniały człowiek, nietylko przetrząść wszystkie starożytne dialekty, ale i cofnąć się do gotycyzmu. Równa konieczność pędzi słowiańskich filologów, do badania najdawniejszych pomników starosłowiańskich, a mianowicie do ksiąg cerkiewnych.

Porównanie tych ksiąg z różnymi epokami naprowadziło na to przekonanie, że nowsze od dawniejszych znacznie różnią się, jeżeli nie treścią, to pod względem języka; a tym samym, że język, którym początkowo pisane były księgi cerkiewne, w późniejszych wydaniach doznał prze-

miany. Przyczyny tej szukać w tym potrzeba, iż pomienione księgi rozchodząc się z pierwiastkowej swjej ojczyzny do różnych plemion słowiańskich, mniej-więcej stósowane i przerabiane były, do używanych tamże dialektów. U Bułgarów były zbułgaryzowane, u Serbów zserbione, u Rusinów zruszczone. W rękopisach też spotykają się te trzy odmiany. Przeciwnie w drukowanych, panuje teraz przeważnie rosyjska odmiana. Ślad starosłowiańskiego języka, w którym były księgi cerkiewne początkowo pisane, napotyka się ledwo w kilku przechowanych rękopisach.

W takim składzie rzeczy, łatwo ocenić, jak wielką wyrządził ten filologii słowiańskiej przysługę, kto wziął sobie za zadanie, podać w całej czystości zasady i kształt tej starożytnej, zaginionej mowy.

Z tego punktu należy oceniać prace wyż wzmiankowanych badaczy starosłowiańskiego języka.

Uczony Dobrowski ma tę wielką zasługę, iż pierwszy wskazał drogę, i pierwszy taki popęd nadał badaniom starosłowiańszczyzny, iż najokwieczniejszych plonów na tej niwie spodziewać się należało.

Jednakże w swoich *instytucjach* popełnił błąd, pełen szkodliwych następstw; a to, że język biblii ostrogijskiej kazał za wzór uważać; przez co miasto gramatyki starosłowiańskiej, uczył tylko bezładnej mieszaniny ruskiej i starosłowiańskiej mowy; tak dalece, iż dzisiaj książka jego nieodpowiada celowi właściwych poszukiwań.

Od czasu ogłoszenia tej książki, wszystko, cokolwiek się pojawiło w tym przedmiocie z mądrymi bardzo wyjątkami, trzymało się kierunku, jaki Dobrowski wytknął, do tego stopnia, że nawet język starosłowiański wskrzeszony w całej czystości przez późniejszych filologów, śmiano za zepsuty uznać.

To pomieszanie i nieład w dziedzinie filologii, obudziło potrzebę, aby na podstawie ugruntowanej krytyki, wznosić budowę badań starosłowiańskiego języka. Winniśmy bystrości sławnego Słowaka Kopitara, iż ta krytyczna podstawa znaleziona została; on bowiem wydawszy w r. 1846 dzieło pod tytułem: *Glagolita Clozianus*, zasłużył sobie na wiekopomną pamięć w słowiańskiej filologii.

Ta praca stała się niejako kamieniem węgielnym; potrzeba było myśleć o wzniesieniu całej budowy. Na miejsce więc nieodpowiadającej celowi gramatyki Dobrowskiego, trzeba było pomyśleć o praktyczniejszej; przytęm też słownik starosłowiański stawał się coraz niezbędniejszym.

Jeżeli dawniejsze gramatyczne prace przesiane krytycznie, okazały więcej plewy niż zdrowego ziarna, tedy i ze słownikami nie lepiej się miało.

Wszystko co w tym ostatnim względzie zrobiono w Rosyi, da się tylko zastosować li do samych ksiąg cerkiewnych używanych tamże; wartość tych badań ma jedynie stronę praktyczną, zrozumienie tych ksiąg; a jednakże niewytrawność tych prac okazuje się nawet na słowniku wydanym przez akademię rosyjską, który nieodpowiada pierwszemu zadaniu, nieobjaśniając dostatecznie wyrazów.

Inne słowniki, wydane za granicami Rosyi, nie są też większej wartości. To zaś, co się znajduje w *instytucjach* Dobrowskiego, te same ma wady i błędy, jakieśmy w gramatyce wytknęli.

Mały słowniczek w Kopitara: *Glagolita Clozianus* bardzo jest niedostatecznym, a nadto, w głównej rzeczy, tj., w przedstawieniu istotnych kształtów językowych starosłowiańskich, ulega wielu zboczeniom i błędom, jakich nienależało się spodziewać w dziele Kopitara. Tym końcem i sam Kopitar nierozwiązał jeszcze zadania, bo nieprzygotował słownika, któryby w całej zupełności podał wyrazy w czystej starosłowiańskiej postaci, które tak dalece różnią się od form języka rosyjskiego.

Dr. Mikloszicz pierwszy wywiązał się z tego zadania, i przez to wielką zjednał sobie zasługę.

Już w roku 1845 wydał on dzieło: *Radices linguae slavonicae veteris dialecti*, które świat uczony przyjął z wielkim poklaskiem; a teraz pod napisem: *Lexicon linguae slavonicae veteris dialecti* wygotował, o ile być może najzupełniejszy słownik czystej starosłowiańskiej mowy; przez co dzielnie posunął badania około języka cerkiewnego, i spełnił przyrzeczenie, jakie przed dwódmiesiątą laty nauczyciel jego Kopitar słowiańskiemu światu zwiastował.

Zdaniem znawców, słownik ten nietylko obszernością swą przewyższa szczupłą liczbę dzieł tego rodzaju (zawiera bowiem 18 tysięcy wyrazów) ale nadto i w tym główna jego zaleta, że po raz pierwszy wskrzesza język starosłowiański w takich formach, jakie się tylko napotykają w rękopismach, sięgających aż do dziesiątego wieku.

Autor od wielu lat nieszczęśliwie trudu, aby pracę swą coraz większymi wymaganiami nauki uczynić odpowiedną, a zarazem godną uwagi słowiańskich filologów i badaczy.

W przedmowie wykazał główne źródła, z których czerpał; a te składają się z 27m rękopisowych i 26ciu drukowych dzieł. Do każdego wyrazu domieszony jest odpowiedny wyraz łaciński, a nawet i grecki. Ostatni ten dodatek podnosi wartość słownika o tyle, o ile wiemy, że większa część literatury słowiańskiej składa się z przekładu ksiąg cerkiewnych, pisanych początkowo po grecku; przytęm wyrażenie greckie najlepiej oddaje ducha wyrazu słowiańskiego, i tylko tym sposobem niejeden stary wyraz zrozumiany być może.

Sądzymy, iż czytelnikom, niewiele obeznanym z badaniami nad językiem starosłowiańskim, oddamy przysługę, jeżeli wymienimy pisma, które Dr. Mikloszicz wydał. Oprócz dwóch wyż wymienionych dzieł, ogłosił jeszcze następujące: *Homilia St.-Joannis Chrysostomi, Vindobonae 1846. Vitae Sanctorum — Vindobonae 1846. — Vita St. Clementis episcopi Bulgarorum, Vindobonae 1847*; — przytęm w Wiedeńskich Rocznikach umieścił był dwie rozprawy, pełne wagi, jedną o porównawczej gramatyce Boppa; drugą o ostromirskiej ewangelii; następnie pominąć niemożna rozprawę jego w Rocznikach Akademii Umiejętności, o czasowaniu słów starosłowiańskich. — Dowiadujemy się niemniej, iż tenże sam autor wyda niebawem gramatykę i książkę do czytania starosłowiańską. Wszystkie te jego prace, odpowiadają potrzebom, jaka się czuć dawała w każdym języku słowiańskim, gdy go kto z gruntu chciał badać. Nie wątpię, iż polscy filologowie niezaniebają skorzystać z tych sposobów, i niejedną nam tajemnicę mowy ojczystej, przy pomocy takiego źródła odsłonią.

Fizjologia grzeczności.

Widać z samego znaczenia wyrazu grzeczność i grzeczny, który dawniej pisał się *k'rzeczny* — że przodkowie nasi, wszelkie z rozsądkiem i sercem zgodne znalezienie się w towarzystwie, oznaczali tym ogólnym mianem. Jest-to najlepszy dowód, jaka w obyczajach musiała być szczerść i prostota, kiedy nieznano, jak za naszych czasów grzeczności dwojakiej: tej, do której zobowiązują pożyte z ludźmi, i tej, która z serca pochodzi. Ten rozdział, to usystematyzowanie grzeczności dowodzi, że ludzie, wchodząc w towarzystwo, przybierają ją jak maskę, która mniej więcej dobrze pokrywa wrodzone niechęci, szorstkość, skłonność do potwarzy lub obmowy, złośliwość i drobne zawiści, i antypatyje, i chytrą złośliwość. W rzeczy samej, gdyby kto posiadał jaki talizman odgadywania myśli człowieka i z nim ukryty usiadł gdzie na boku w towarzystwie licznie zebranym, byłby świadkiem najosobliwszej, najsmieszniejszej komedyi. Pod warstwą słów i sposobów mówienia niejako steryotypowych, które same bez wewnętrznej wartości i znaczenia w usta się cisną, usłyszałby z gę-

bi duszy wychodzące wyznania i zdania wręcz przeciwnie.

Patrzmy naprzykład na powitanie dwóch mężczyzn: ściskają się tak serdecznie, że z uścisku sądząc, wnosilibyś, że więcej niż prosta znajomość ich łączy. Czemuż pan X. tak czule wita pana Y? Oto, aby mu wręcz wypalić komplement: czytałem też tę krytykę na twoje dzieło; jakżeż nielitościwie cię szarpie! szkoda tylko, że taka dowcipna; bo przyznam się panu, nieposiadam się z oburzenia.

Co za nieoszacowany człowiek! a ledwie go dzina temu, jak przy czarnej kawie pękał od śmiechu, czytając ten artykuł w dzienniku.

Ow znowu przystępuje, i ubolewa nad tobą, że posada, którą miałeś otrzymać, porwana ci została przez intrygę: to haniebnie! jeżeli takich ludzi pomijać będą, czegoż się my, spodziewać możemy?

— Najświetniejszej kariery! — byłbyś odpowiedział, gdybyś miał talizman; bo ów ubolewający Jegomość, intrygą i pretekstą wsadził na tę posadę, jakiegoś kuzynka swojej żony.

Czy uważasz, jak te dwie panie uprzedzają się w grzecznościach: jedna drugiej miejsca znaleźć niemoże; zdawało by się, że chcą sobie niebo przychylić. A tymczasem w ciągu rozmowy pani X. daje do poznania pani Y, że wie o jej skandalicznej przygodzie z przyjacielem domu; — nawzajem pani Y naprowadza nieznacznie rozmowę o wodach Szczawnickich, i wymienia nazwisko jakiegoś młodego mężczyzny; co zmusza panią X. że spłonioną twarz odwraca od blasku lampy...

Te i tym podobne starcia się zawiści, złośliwości antypatii i pychy, trafiają się niemal w każdym towarzystwie; lecz trzeba hystrego spojrzenia, ażeby umiało schwycić je pod maską słodyczy i grzeczności, zrzęcznie udanej.

Dla tego też szczerzy, prosty charakter, biorący każde słowo, każdy uśmiech i spojrzenie, za to, czém mu się wydaje lub widzi, popada nieraz w ciężkie kłopoty, a prawie zawsze naraża się na śmieszność. Jak Hiszpana, który na wszystko co dotknie, lub pochwalisz, odpowiada ci: *Es a la disposicion de usted*, niemożesz brać za słowo, bez grubego uchybienia przeciw grzeczności; tak słów, uśmiechów, spojrzeń, uścisków, przymlień światowych, niebierz po tej cenie, po której ci je sprzedają. Smutna to prawda, niewiele przynosząca zaszczytu naturze naszej — ale dla tego nieprzystaje być prawdą doświadczenia; i, jakżeżby inaczej być mogło, gdzie konwencjonalna reguła nakłada swoje pięta?

Mimo tego, jest pewna grzeczność, zimna wprawdzie, lecz niemniej naturalna, szczerą i prawdziwą, będącą przymiotem wszystkich ludzi uczciwych i dobrze wychowanych. Oni to sądząc o człowieku podług swych pięknych skłonności i usposobień, okazują ci swój szacunek, i radzi są, że go okazać mogą.

W traktowaniu wszelkich interesów, człowiek grzeczny ma za sobą wielką przewagę. Zwykle ci, co się twym kosztem bogacą, okazują się najniegrzeczniejsi i pełni wymagań. Co za niesprawiedliwość! nie tylko że się dajesz obdzielić, ale jeszcze nie usłyszysz za to prostego: Bóg zapłać!

Nieznam śmieśniejszego zwyczaju, jak zdejmowanie czapki lub kapelusza, kiedy znajomego spotykasz. Gdyby to niebył nasz obyczaj; gdyby nam powiedziano naprzykład: że Japończykowie witają się w ten sposób; pękalibyśmy od śmiechu. Rozważając nieraz ten szczegół, przychodziło mi na myśl, dlaczegoby tym, co przodkują modzie, niemiano przyjść kiedy do głowy, zdejmować obuwia na ulicy, na znak powitania. Wszakżeż byłaby to i większa zasługa, i wyższy dowód czułości. — Niektórzy wypiarze witając się, dotykają się nosami; inni wachają sobie ręce; ostatni sposób byłby wyborny, gdybyśmy, ludzie ucywilizowanego świata, mieli wdech tak bystry, żeby prawdziwego od fałszywego przyjaciela rozoznać.

Wielu jest takich, co biegli w składaniu grzeczności, nadużywają tego improwizatorskiego daru. Niby obsypują cię potokiem komplementów, a w wyrazie ich twarzy czytasz: niepocholebiam ci, aby twoją młodość własną pojechać, lecz abym wycisnął na tobie to wyznanie: jakież to grzeczny i uprzejmy człowiek! — Zajęci zwykle samymi sobą, tak mało dają baczenia na obecne osoby, że gotowiby chwalić błękit ócz czarnych, delikatność rączki pod rękawiczką, smukłość kibici pod watowanym płaszczem. Taka grzeczność trąci impertynencyą; ale ludzie mają tak mocną wiarę we wszystkie rodzaje swęj doskonałości, że to ich nigdy nieobraża.

Niektórym się zdaje, że potrzeba zawsze mieć uśmiech na ustach, gdy mówią do osób, którym przypodobać się pragną. Z uśmiechem więc będą opowiadać, jak kto nogę złamał; ów się zabił, a owa pani zemlała, lub straciła dziecko. Słuchający widzi się zobowiązanym przybrać wyraz twarzy zmartwionej; z czego wynika pocieszny kontrast: opowiadacz śmieje się, słuchacz żzy roni.

Zbytek grzeczności zawsze nosi na sobie pozór najbrzydliwszej hipokryzji. Komuż się nie zdarzyło być żywiej obrażonym przez zbytek grzeczności udanej, niż przez otwartą niegrzeczność? Są osoby, które dumę swą starają się osłaniać płaszczem ugrzecznienia; a dla tego nie mniej bywają nieznośnemi. — Nigdzie może jak w listach niedaje się pstrzeżać różnica w wylocie uczuć przyjaznych; zwyczajna skłonność między dwoma przyjaciółmi lub znajomymi, wcale niepodobną jest do gorących wyrażań; jakimi listy bywają przepelnione. Jeżeli lubisz ważyć wartość słów, i tylko przyrzekasz to, co pragniesz dotrzymać, musisz czuć odrazę do tego stylu, gdzie każdy wyraz jest czystym kłamstwem.

Odbierasz np. bilecik, zaczynający się w ten sposób: *W rozpacz* jestem, żem cię nie zastał i niemógł uściskać. Cóż na to odpowiedzieć, chyba: *Serce mi pęka* na tę myśl, żem cię niepowitał w mym domu. — *Otóż mamy i rozpacz*, i pęknięcie serca, z tak drobnej przyczyny!

Mój drogi, mój serdeczny przyjacielu, tylekroć używano nadaremnie, że ten sposób mówienia stał się niejako obrazą; i niemożna o tem trafniej wyrazić się, jak się wyraził w komedii ów poczciwy handlarz bydła z Krakowskiego, tknięty do żywego, gdy go któryś z miejskich panów przyjacielem, jakby z partesu nazwał.

Jeżeli grzeczność przesadna i fałszywa smutną jest stroną wyższych towarzystw, to z drugiej strony nigdy większej grzeczności niemyśmy prawa wymagać, jak we wszystkich miejscach i urzędach publicznych; na lada bowiem uchybienie jesteśmy gotowi powiedzieć: daruj Pan Dobrodziej; ale jak widzę, zapominasz, że cię odpłacam, abys był grzecznym; pod konstytucyjnym rządem każdy z nas ma prawo wyrzec, jak Ludwik XIV. w parlamencie: *L'état c'est nous*.

Tyle się słów niepotrzebnych roni zwykle na tej ziemi, a mianowicie w kołach ucywilizowanego świata, a tem samem gadatliwszego; że gdybyśmy z pochwał i grzeczności wyrzucili te, co brzmią pusto, zostałoby bardzo niewiele. Tak niewiele, że nawet w przybliżeniu niemożna oznaczyć. Dusza prosta, otwarta, natura niezwichniona jeszcze, potrzebuje ogromnej odwagi i niezłomnej siły, aby mogła bez blichtrów, ozdób, świcidel, pokazać się w całej swojej prawdzie obok sztucznych, manierowanych lalek, które wytkną ją palcem, i ochrzczą mianem dziwaka, lub parafianina. Dla takich istot najlepiej samotności szukać — świat do nich, one światu nieprzypadają do miary.

Wiadomości Bibliograficzne i Artystyczne.

Kraków. W Nrze Smym „Tygodnika Lwowskiego“ wytoczono polemikę przeciw artykułowi Dodatku Literackiego, z powodu wzmianki o nieliterackich i niepolskich nazwiskach wydawców pomienionego Tygodnika. Szermierką występującą w obronie wydawcy i redaktora

(a o tych dwóch osobach sądziliśmy tylko z tego, cośmy w prosepce widzieli, tj., z dwóch prostych nazwisk), jest Marya Pomezanska, jedno z najpiękniejszych obecnie piór płci pięknej w Polsce, jak powiada przypisek redaktora; z obrony, niewiele się dowiadujemy, a raczej bardzo wiele: że redaktor jest młody i może przyjść do wielkiej literackiej sławy. Cieszy nas bardzo ta wzajemna admiracja najpiękniejszych piór i geniuszów *en herbe*; wszakże to już pół osiągniętego szczęścia! — Dodać tu jeszcze mamy co do pamiętników Jemiołowskiego, pomijając wiele na co odpowiadac niewidzimy potrzeby, że wcale to sobie nie liczym za patriotyczną zasługę, aby oficjalnie chwalić to lub owo, co niezasługuje na pochwałę. Krytycy krakowscy takie wzbudzający gniewy nieradzi pisać się do Abderytów; ten smak panujący może gdzie indziej, do nas dzięki Bogu, nieprzedarł się jeszcze.

— (Skład antykwarSKI.) Za granicą, mianowicie w Paryżu, Brukseli, Antwerpii, Amsterdamie, Kolonii, toż w Wenecyi i w Rzymie, spotykamy wszędzie liczne składy ksiąg, rękopisów, malowideł, rycin, rzeźb, gotyckich mebli, porcelan starożytnych, zbroi, broni itp. Jest to niezmiernie ułatwienie dla amatorów i zbieraczy takich zabytków. Postrzegamy, że u nas mnożyć się zaczynają lubowni starożytności; ażatem taki skład antykwarSKI bardzo jest pożądanym, mianowicie w Krakowie, gdzie tyle zabytków i pamiątek znajduje się rozrzuconych po różnych rękach. Pan Fusiecki, sam amator i zbieracz ksiązek, medali i rycin, wpadł na pomysł założenia takiego składu starożytności; przez co nietylko może oddać amatorom usługę, zbywając swoje zbiory, ale nadto obowiązuje się, tak przez liczne znajomości miejscowe, jak przez stosunki z zagranicznymi antykwarzami, wyszukiwać i sprowadzać zabytki i osobliwości bibliograficzne i archeologiczne.

(List.) Wiem dobrze, że każdy, występujący publicznie, przyjmować krytykę obowiązany, wiem, że każdemu wyznawemu do polemiki naukowej odpowiadać należy, jeżeli stąd publiczność wyjaśnienie, a przedmiot coraz rozleglejszy rozwój pozyskałby. — Lecz uważając recenzję na dzieło moje: „Rys dziejów wojennych, jako wstęp do umiejtności i sztuki wojowania“, w Przeglądzie Poznańskim z miesiąca Sierpnia i Września 1849 r. napisaną w duchu stronnictwa, za prosty paszkwil, a do tego uważając poniżej godności autora, wchodzić w szranki z przeciwnikiem z ukrycia tylko występującym, który przeto nie daje żadnej rękoi, iż jest w tej sprawie kompetentnym sędzią — takową recenzją postanowiłem pominać milczeniem, — tylko te kilka słów wyjaśniających skreśliłem, dla Redakcyi Czasu, w załatwieniu wzmianki w Dodatku Literackim do Czasu Nr 5, o téjże recenzji zamieszczonej, z tem jeszcze nadmienieniem, że pierwszy uznaw w duchu ewangelicznym, nie jestem go dzien autorowi rozwiązać rzemka, jak skoro tylko lepsza w tym rodzaju pojawi się praca. Józef Głębocki.

Lwów. (Kor.) — Wczytawszy w Nrze 3em „Dodatku Literackiego do Czasu“ z r. b. wiadomość ze Lwowa, w której korespondent wynurza swój „żał, że tłumaczenie Liwusza przez Ossolińskiego, dopiero teraz wyjrzało na świat, kiedy tyle innych, żadnej wartości ramot, wychodziło ciągle z tej oficyny;“ czuję się obowiązany, jako prowadzący od roku drukarnię zakładu Ossolińskich, oświadczyć: iż drukarnię uważam o tyle za przedsiębiorstwo, o ile się w niej drukują pisma, które ktokolwiek do druku podaje; drukarz zaś, jest tylko obowiązany przestrzegać, aby w obec prawa nie został pociągniętym do odpowiedzialności. Jeśli drukarnia może zrobić wybór, wtedy jest jej moralnym obowiązkiem drukować to, co jej się zdaje użyteczniejsze. — Tak też postępuje drukarnia co do nakładów swoich, z których jednym jest Liwusz zpoliszczony, i za swoje też nakłady drukarnia Ossolińskich przyjmuje całą odpowiedzialność przed narodem. Gdyby jednak korespondent nie należał do tych, co wyrokują, nie przekonawszy się naprzód, byłby się dowiedział, że w przeciągu jednego roku (1849) wyszło z drukarni Ossolińskich wiele druków, nie jej nawet nakładu, których ramotami nazwać-by nieśmiał, jak np.: Torosiewiczza, „O wodach mineralnych w Galicyi;“ Stupnickiego, „Opis Galicyi;“ (?) Niemcewicza „Śpiewy Historyczne;“ „Zdanie sprawy komisji sądowej, wysłanej do Niemiec i Belgii;“ Szajnochy „Pierwsze odrodzenie się Polski;“ „VI i VII. Tom Roczników Tow. Gosp. Gal.;“ Urbańskiego „Nauka gosp. wiejsk;“ Kunzeka „Wiadomości z fizyki, chemii“ itd.; Kraszewskiego „Ostronnie z ogniem.“ Niewyliczam tu wszystkich dzieł i pism czasowych użytecznych, bo spodziewam się, że wymienione są dostatecznym dowodem czynności drukarni.

Jan Szlachetkowski,

Kustosz Zakładu Ossolińskich.

— O ile się nam zdaje, artykuł Dodatku Literackiego, wynurzył żal swój nie tyle do oficyny Zakładu Ossolińskich, która tylko drukuje co może i co jej dają drukować, ile, do długi obojętności tych, co niechcieli lub nieumieli skarbów rękopisowych biblioteki rozpoznać.

Warszawa. (Przegląd artystów.) — Przed dziesięciu laty biedna była Warszawa w artystów. Marudery z lepszych czasów, pogarbione, albo uczniowie jeszcze Blanka, malowali jak mogli, jak sił starczyło, kochaną swoją Warszawę; ale o przyszłości strach było wspomnieć, bo nie było widac siewu na tę przyszłość. Snehodolski wielki talent, jak na domową potrzebę, chorował na europejskie

imie, uczniów nie brał, bo mistrz wielki nie chciał się nękać nad abecadłową dźwiatą; nigdy on nie miał uczniów i szkoły, tego mu też nigdy nie daruje Polska, choćby sam jeszcze dziesięć razy lepiej malował! Smokowski gdzieś siedział w kacie, ani o nim kto słyszał co robi, zaledwie były wieści, że to malarz; szkoły dźfugo nie miał. Hadziewicz portrecista za nadto myślał o chlebie; trafiał cudownie, czasem jeszcze wymalował lepiej, jak Pan-Bóg stworzył człowieka. Prawili o nim wiele, miał jakąś szkółkę, ale i o tym mało można się było dowiedzieć. — Marszałkiewicz ditto! — Czy uwierzysz? Oto talent wielki, mierny, człowiek lekceważony od wszystkich artystów, stojący niżej od tych wszystkich, com ci na czele postawił — słowem Kokular; talent małeńki, a przecież ojczyźnie największe oddał posługi! — Twórczość jego niżej jak mierna, portrecista nie wierny co do ludzi, a przecież najśliczniej haftował koronkami, najlżej rzucał draperye, owijał aksamitami i ałasami, słowem, w malowaniu rzeczy nieżywych, mistrz! w malowaniu życia, zero! — Ale pracowitość niezmiordowana. Niemasz kōsioła postawionego nowo, albo reperowanego poprzednie, w któregooby ołtarzach nie jaśniały jaskrawością kolorów najwyższych obrazy Kokulara; wszystkie wypracowane najstarszemi, ale święci Pańscy grupują się tylko dla doboru kolorów i lekkiego porzucania draperyj. Kokular był żaden artysta, ale mimo to więcej przysłużył się Polsce, jak pięciu Suchodolskich! Dla czego? Oto dla tego, że zawsze miał szkołę i to liczną szkołę; wabił młodzię, zachęcał, ułatwiał środki utrzymania się, żywił przy własnym stole, a takie miał bogactwo mechanicznych wiadomości, że nikt lepszymi zasobami malarskiej mechaniki nie opatrzył jak Kokular. — Ale tu przepomniałem o Piwarskim. Piwarski to nie malarz, ale rysownik; rysownik niepospolity, którego album cynkograficzne musiałeś widzieć, musiałeś spuścić z doktorskiego tonu i parsnąć śmiechem w oczy pijanemu chłópu, rachującemu się z karczmarzem żydem, rachowałeś cybule w warkoczach cybularza, chciało ci się kupić choć jedną rynekczkę od zduna! Bo też to Piwarski tak rysuje charakterystyczne figury ulic warszawskich, że musi człowiek zapomnieć o o papierze, gdy utopi nie w jego szkicu! — Piwarski rysuje wybornie, uczy niezmiordowanie, wabi młodzię i wyszukuje, polując jak boczian na żaby i połyka w swojej szkole. — Ten człowiek wiecznie wesóły, gdy siędzie do pracy w swoim atelier malarskim, uśmiecha się do młokosów rysujących z zapałem, ten zapał cudownymi opowiadaniem drażni i podnosi, słowem, nigdy ani Jezuci ani Pijarzy tak nie wabili zrecnie do nowicyatu studentów, jak on umie wabić do swojej szkoły, do życia artystowskiego. — Otóż Piwarski uczył rysować, Kokular uczył malować — i to tyle nauczyli obadwa, że gdy posłali którego z wychowanców swoich pod włoskie niebo, dziwili się rzymscy mistrze domowemu upravianowaniu Polaków na drodze w zawód sztuki.

Spojrzyj dzisiaj pomiędzy młodych artystów naszych w Warszawie, co wychowali się w domu albo popowracali z zagranicy, nieledwie każdy uczniem Kokulara i Piwarskiego!

Jest dzisiaj w Warszawie gimnazjum sztuk pięknych, to gimnazjum obsadzone profesorami zdolnymi, wszystkie imiona znakomitsze dawnych czasów znajdziesz tam zebrane ku stworzeniu szkoły polskiej, rozwijającej się coraz lepiej. Piwarski, jakby matka rodzona tego gimnazjum, krząta się najpilniej, ożywia ducha, rekrutuje uczniów corocznie, Bóg wie z kąd, ale wyszukuje zdolną młodzię i gimnazjum coraz liczniejsze. — Kokular już nie żyje, przed parą laty umarł, miłe zostawił po sobie wspomnienia; uszanuje go naród w dziejach sztuki, ale śmierć jego nie jest już tak bolesną, bo jest szkoła dla młodzię, szkoła publiczna.

Raz wszedłszy między polskich malarzy, zapoznasz się z wszystkimi. Rzecz to niesłychana na zachodzie Europy; spytaj się artystę o artystę w Düsseldorfie, Brukseli, Paryżu, Rzymie, Florencji, Neapolu, powie ci coś z uśmiechem ironicznym, pochwali uszczypliwie; tam ludzie sztuki jakby kamienia filozoficznego szukają w sekrecie jeden przed drugim, z żądzą panowania nad światem sztuki. U nas w Warszawie przeciwnie. Gdy wniędziesz do atelier malarskiego, uderzy cię jakiś nieład obozowy, ubóstwo nagie, bez wszystkich kwiatów strojących materialne życie człowieka. Ale spojrzysz na ściany — widzisz całą swobodę artysty; widzisz nachnienie wyższe, wylewające się w studiach; widzisz że to Polak czerpie z ojczyzny i dla ojczyzny, którą nadewszystko ukochał i gdzie tylko okiem rzuci, myślą sięgnie, szuka życia narodowego. Mnóstwo widziałem etiudów po prowincjach, mnóstwo rozpoczętych lub dokonanych prac na większą skalę — wszędy albo myśl historyczna, albo naród żywy. Choćbyś był najdoskonalszym znawcą, najbieglejszym teoretykiem, najsurowszym krytykiem, lub pedantem — rozbroi cię tu prostota nieumiejętna, bo widzisz nie artystę żyjącego dla sztuki, ale artystę sztukę poświęcającego dla ojczyzny. Jeżeli widzisz w młodym artyście dumę, to narodową; jeżeli zobaczysz zazdrość, to ona ponieważ ci będzie cudzoziemców, a prawie będzie o mistrzach narodowych — zaledwie czołem uchylił przed Madonną Rafaela. — Wszyscy artyści młodzi mają ten charakter wspólny a tak mocny, że zaledwie po dźfugiem obcowaniu rozpoznasz przebijającą się przezeń indywidualność.

Z takiego usposobienia wynika nadzwyczajnie żywe i

szczęre koleżeństwo. Młodzi artyści warszawscy stworzyli jakby kastę osobną w narodzie, każde odkrycie pojedynczego staje się własnością całej szkoły; pomagają sobie wszyscy, żyją jak bracia, dzieli się zarobkiem, uczuciami i myślami. Mnie serce rosło na ten widok i pomyślałem sobie: — taka młodzię ma przyszłość, z takimi pracownikami będziemy mieli szkołę polską. Ta młodzię polska z błędem czołem, uśmiechem na licu, pieśnią na ustach, płasza przez pola cierniami usłane i biegnie do celu, u którego ma znaleźć szczęście i niezapłuję życia, nie szczędzi cierpień — choćby i zginąć na drodze do wzniosłego celu: wszystkim steruje nadzieja, a portem wspólnym niepodległość ojczyzny, do której każda pierś wzdycha, do której każde płomieni się serce. — Jest dzisiaj w Warszawie około 40tu młodych malarzy, z których większa połowa kształciła się za granicą. — Znajdziesz tu żywe sceny ze Sflinsa Kraszewskiego, a nie żał tu nikomu prawie umierać śmiercią Tytusa! Nędza wygania pojedynczo na kraj dla zarobku na najprostsze życia potrzeby, ale wszystko wnet gromadzi się tutaj do wspólnego ogniska. Dla malarzy, snycerzy, muzyków stało się to już zakonem wędrować po kraju, zbierać wzory z kształtów i melodji żywych.

Ale niemogę tutaj przebaczyć jakiemuś grzechowi ciężkiemu, którego źródła próżno szukam. Widziałem młoda literaturę, wychodzącą z pieluch, a starszyzna potraktowała ją zimno, puściła samopas, nie było jednej ręki, coby podała się kierowaniu talentów, patryarchat literacki rozśmiał się pogardliwie w oczy tej młodzię, której szkoły nieznano. — Wielkie to następnie dla kraju spowodowało straty, mówiliśmy już kiedyś o tym. — Ale to samo pojawia się na świecie sztuki; starszyzna stanęła w odosobnieniu i idzie sobie swoją drogą, nieogładając się ani na przyszłość sztuki, ani na przyszłość Polski. — Piwarskich i Kokularów mało, a i ci przecież w starszyźnie za małych ludzi uchodzą. Byłem raz w Warszawie na wystawie sztuk pięknych w r. 1845 w Kaźmirowskim pałacu; wystawiono około osmeset numerów obrazów, rysunków i rzeźby. Oglądałem wszystko pilnie co było malowane, ale patrzyłem i na ludzi co oglądali. Ciekawość moja szybko objaśniała Warszawiacy; poznałem Suchodolskiego i pogniwałem się nań serdecznie. Widziałem jego dzieło: „Walkę amazonek,“ rozumiałem, że wpadną na mnie rozluhanne konie z obrazu, oceniłem talent niepospolity, mimo wielu niedoskonałości w obrazie; ale gdy zobaczyłem Suchodolskiego, dowiedziałem się, że to współzawodnik Horacego Verneta, chory na geniusz europejski śmiertelnie! Nieznośna figura w obojętności się z młodymi artystami; widziałem go przechodzącego około kilku, zaledwie dał poznać ze siebie, że ich sobie przypomina, gdy odbiera ukłony czci pełne. Talenta miał lekceważąc, bazgrałów ścisłał serdecznie. O! wtedy przypominałem sobie Baciarellego! — Nie lepszym on był dla towarzyszy starszych; Smokowskiego traktował protekcyjnie, gdy cała Warszawa postawiła go wyżej od wszelkich Suchodolskich; do Piwarskiego uśmiechnął się; na obrazek Tadeusza Brodowskiego, przysłany na wystawę z Paryża — zaledwo spojrzął, bo i tam były konie, ale konie Vernetowskie, bo tam byli ludzie, a tych Suchodolski zawsze poświęcił dla koni! — Warszawiacy objaśnili mi resztę com przeczuwał. Pan Suchodolski chory na geniusz, zamknął się sam w sobie, żyje dla siebie, z bogatym gabinetem gipsów, ze skarbami odkryć — ale świat nie słyszał, aby w drodze łaski wpuścił do siebie ucznia lub wychował kogo.

Smokowski jest to inny rodzaj człowieka, także chory, ale na drzeworyty; kto widział jego drzeworyty, obrzydził sobie Smokowskiego. A przecież to w starszyźnie naszej mistrz najwyższy talentem, najniezmiordowańszy pracą. I Suchodolski i Smokowski pracują w rodzaju historycznym, pierwszy z dziejów wyprowadził tylko konia, drugi z dziejów wyprowadził człowieka. Smokowskiego Jagiełło jest wielki, ale Jadwiga okropnie skrzywdzona. Jestto wada smaku artysty. Rafael malował grubopłaskie, najbrzydsze konie, Smokowski rysuje ogromne nogi ludziom, a kobiety same ciężarne. Lica i pierś rycerza ogromną biją siłą i mocą muskułów, ale nogi wyglądają jak ciężkie skarpy przy fundamentach zameczysk gotyckich. Niewieście polskiej dał Smokowski czarowną potulność, pokorę, czystość, dziewiczość — wszystko to wyczytasz z lic tej istoty, ale istoty upośledzonej od natury jakimś oniemieniem, odebrał jej wszystkie lekkość i wdzięk uroczy, wszystkie piękność ciała poświęcił dla jej serca i duszy. Jednakże w obrazach Smokowskiego przebiega ogromna wiedza autora, duch badawczy, zład prace jego są ogromnej wartości. Suchodolski buduje wszystko na efekt, na zmysły; jego „Spalenie okretu tureckiego przez Greków“ jest arcydziełem efektu dla efektu, nigdzie atoli nieznajdziesz nic dla duszy, po jego obrazie to samo wspomnienie co po fajerwerku — po Smokowskim dźfugo, dźfugo rozpamiętywasz o przeszłości Polski. Pan Suchodolski malował księcia na obstalunek bitwy perskiej, czerkieskie (a pono i tryumfy Rosyan w ostatniej kampanii 1831 roku) ku podniesieniu chwały grafa erywańskiego, kniazia warszawskiego. Pokorny duch Smokowskiego nie śmiałyby tyle zaufać talentowi swojemu, żeby go oddać na służbę i jeszcze w pamięci narodu zachować cało!

Smokowski niema talentu, a raczej powołania do wyszukiwania ludzi młodych i wychowywania. Jednakże serdecznie cieszy się na widok młodych usiłowań, przyciśnie

do gorącej piersi każdy talent co się sam do niego zbliży i opatrzy szczerą radą na każde zawołanie. Szkoły nie założył nigdy z urzędu, zawsze atoli miał kogoś w malarni. Nadewszystko zaleca tego człowieka samodzielności. Od abecadła, że tak powiemy kształcił on się o własnych siłach, sam łamał się z trudnościami, i wszystko, co umie, co może, zdobył na ojczystej ziemi. Wycieczki jego na świat obcy były już późno; Smokowski już był skończonym artystą, kiedy zajrzał w oczy wzorom Rafaela i innych patryarchów sztuki.

Artystom trzeba pomocy, trzeba chleba powszedniego na siłę i trwałość ciała. Gimnazjum sztuk pięknych nowa wnet wyprowadzi generacyą na świat; gdzież ona się obróci? — O Boże! jakżeś ty wielki i miłosierny! Dałeś Polsce tyle cudów, krasisz ją co dnia nowemi wdziękami, wywodzisz z dna społecznego nowe co dnia gwiazdy — a Polska otreptwała dzieł ręki Twojej nie widzi i nie uczei i nie przyciśnie do serca!

Nie mecenasów ja wołam dla przyszłości sztuki — ale chciałbym uczczenia tego, co Bóg wyprowadził na jaw; chciałbym z pałaców wyrzucić palisandry i adamaszki ubożące Polskę — a nanieść tego, co wyrobiła w sobie Polska na strój i chwałę dla siebie za pomocą Boga!

(z G. P.)

— (Now. Lit.) Księgarz Orgelbrand drukuje obecnie: „Kronikę polską z X. wieku,“ p. W. A. Maciejewskiego

— S. H. Merzbach zamierza wydawać w ozdobnej edycji dzieło, pod napisem: „Księga Świata.“ Obejmować ma w sobie opisy krajów i okolic, ciekawe podróże, i artykuły w tym zakresie naukowe. Dzieło to mają zdobić ryciny kolorowe, staloryty i drzeworyty.

— Przygotowują się do druku 2 tomy „Poezji Wincentego Smacznińskiego,“ którego mamy już tłumaczenie Welleja Paterkula. Zawierać będą poezye oryginalne i tragedya Sofoklesa. P. Smaczniński przekładał i Odysseę Homera wierszem, której próbki drukował po pismach peryodycznych.

— J. I. Kraszewski, oprócz dawniej zapowiedzianej powieści: „Jaryna,“ przygotował do druku nową powieść w jednym tomie, pod napisem: „Tomko.“ Ma ona się drukować we Lwowie. Tegoż dzieła: „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy,“ wyjdzie w Paryżu ozdobione rycinami, staraniem I. K. Wilczyńskiego, wydawcy Album Wileńskiego. Tenże autor pracuje ciągle nad „Słownikiem artystów“ i „Ikonotheą Polską,“ które zamierza wydać w r. b.

— Częściowo drukująca się powieść w Tyg. Petersburskim, pod napisem „Dziwadła,“ ma być wydana oddzielnie w 2ch tomach.

— J. Korzeniowski drukuje w Wilnie dalszy ciąg: „Pamiętników Oryginała.“

Praga. Czescy literaci: Jaromir Erben, Kobilisko, Nebesky, Szohaj, W Tomek, Tomiczek, Zirownicki, postanowili zawiązać się w stowarzyszenie, mające na celu przekład wszystkich greckich i rzymskich klasyków, wraz z komentarzami. Pan Nebesky wyda naprzód komedye Arystofana i rozmowy Platona; pan Szohaj, trajedyje Sofoklesa, Eneidę Wirgiliusza i Georgiki; pan Tomek Tacyta, a pan Zirownicki dzieła Juliusza Cezara. Profesor Szir w Giczinie przygotowuje również przekład autorów greckich na czeskie.

— Historyograf Tomek wyjechał do Paryża, gdzie ma odczytywać najnieczytelniejsze rękopisy, odnoszące się do piętnastego wieku, a z których wiele ciekawych rzeczy dowiemy się. — Pan Tomek odbędzie jeszcze podróży po Niemczech dla obeznania się z historycznymi seminarjami; albowiem ministerjum austryackie ma zamiar założyć taki instytut w Pradze, i oddać go pod zarząd pana Tomka. W jego niebytności miejsce sekretarza przy Maticy zajmować będzie pan Erben.

Anglia. (Lord Jeffrey) Dnia 26. Stycznia r. b. w Edyburgu umarł Francis Jeffrey, znany założyciel czasopisma *Edinburgh Review*. W poczcie myślicieli i rozsiewaczy oświaty, nikt w Anglii nie zajmował większego stanowiska nad Jeffreya. A któż on był? Oto założyciel czasopisma, bezimienny krytyk, naczelnik okrzyczanej z początku partyi. Można o nim powiedzieć, że kierował wielką, acz powolną rewolucyą moralną. Z początkiem bieżącego stulecia cała Anglia tak była przesiąknięta torysowskimi przesady, że każda myśl, swobodniejsza, odlatywała od niej, jak grot od zbroi. Wówczas nie było wielkiej różnicy w temperaturze polityki londyńskiej a petersburskiej. Francuskie swawole rewolucyjne taką wpoiły odrazę od wszelkich nowości, iż każda myśl liberalna uważana była za plód francuski. W tym tedy czasie w Edyburgu, tej głównej kwaterze toryzmu, zebrało się kilka dzielnych umysłów, w celu rozpoczęcia agitacyi, a raczej odświeżenia wyobrażeń, drzemających od lat kilku. Niebawem *Edinburgh Review* napełnił całe trzy królestwa swym głosem męzkim, bystreimi badaniami, obudzając ciągle najsilniejszy interes. Historia tego czasopisu podobna jest do dźfugiej krucjaty; rok rocznie odnosiło nowe zwycięstwa, posuwała się krok za krokiem, zakreślając coraz szersze koło wpływu na opinię publiczną, nakoniec ideje liberalne do tej potęgi wzrosły, iż musiały wydać reformę r. 1830. Na tym skończyła się krucjata. Whigowie przyszli do stęru — więc też powołanie i czynność Jeffreya skończyła się prawie z tym rokiem.